

POWTÓRKA Z LALKI B. PRUSA

Przed zajęciami:

1. Przeczytajcie dokładnie podane fragmenty *Lalki*.
2. Określcie, jakie wydarzenia przedstawiają konkretne fragmenty powieści B. Prusa.
3. Sprawdźcie, czy znacie wszystkich bohaterów pojawiających się w danym fragmencie tekstu (też: bohaterów, o których jest mowa w wypowiedziach postaci / narratora).
4. Zastanówcie się nad maturalnym wykorzystaniem podanych fragmentów – problem, motyw.

FRAGMENT 1.

Słychać szmer w sieniach. Jakaś ręka poszukuje klamki, nareszcie otwierają się drzwi i na progu staje ktoś odziany w wielkie futro upstrzone śniegiem i kroplami deszczu.

— Kto to? — pyta się pan Ignacy i na twarz występują mu silne rumieńce.

— Jużeś o mnie zapomniał, stary?... — cicho i powoli odpowiada gość. (...)

Pan Ignacy zbliża się do gościa wzruszony i zgarbiony więcej niż kiedykolwiek.

— Zdaje mi się... — mówi zacierając ręce — zdaje mi się, że mam przyjemność...

Potem gościa prowadzi do okna mrugając powiekami.

— Staś... jak mi Bóg miły!...

Klepie go po wypukłej piersi, ściska za prawą i za lewą rękę, a nareszcie oparłszy na jego ostrzyżonej głowie swoją dłoń wykonywa nią taki ruch, jakby mu chciał maść wetrzeć w okolicę ciemienia.

— Cha! cha! cha! — śmieje się pan Ignacy. — Staś we własnej osobie... Staś z wojny!... (...)

Gość także się śmiał. Objął Ignacego za szyję i po kilka razy gorąco ucałował go w oba policzki, które stary subiekt kolejno nadstawiał mu, nie oddając jednak pocałunków.

— No i cóż słyhać, stary, u ciebie? — odezwał się gość. (...) — Jakże się masz?

— Wybornie. I w sklepie jest niezłe, trochę zwiększyły się nam obroty. W styczniu i lutym mieliśmy targu za dwadzieścia pięć tysięcy rubli... (...)

— No, a jakże tobie poszło? — zapytał Rzecki (...)

Wokulskiemu błysnęły oczy. (...)

— Pamiętasz — rzekł — ile wzięłem pieniędzy, gdyś stąd wyjeżdżał?

— Trzydzieści tysięcy rubli, całą gotówkę.

— A jak ci się zdaje: ile przywiozłem?

— Pięćdziesiąt... ze czterdzieści tysięcy... Zgadłem?... — pytał Rzecki, niepewnie patrząc na niego. (...)

— Dwieście pięćdziesiąt tysięcy rubli, z tego dużą część w złocie — rzekł dobitnie. — A ponieważ kazałem zakupić banknoty, które po zawarciu pokoju sprzedam, więc będę miał przeszło trzysta tysięcy rubli...

Rzecki pochylił się ku niemu i otworzył usta.

— Nie bój się — ciągnął Wokulski. — Grosz ten zarobiłem uczciwie, nawet ciężko, bardzo ciężko. (...)

— Narażać się dla majątku, gdy się ma spokojny kawałek chleba!... — mruknął pan Ignacy kiwając głową i podnosząc brwi.

Wokulski zadrżał z gniewu i zerwał się z kanapy.

— Ten spokojny chleb — mówił zaciskając pięści — dławił mnie i dusił przez lat sześć!... (...) Ileż to razy mówiono o mnie i prawie do mnie, że karmię się z fartucha żony, że wszystko zawdzięczam pracy Minclów, a nic, ale to nic — własnej energii, choć przecie ja podźwignąłem ten kramik, zdwoiłem jego dochody...

Minclę i zawsze Minclę!... Dziś niech mnie porównają z Minclami. Sam jeden przez pół roku zarobiłem dziesięć razy więcej aniżeli dwa pokolenia Minclów przez pół wieku. (...)

Teraz już wiem, ilu jestem wart Minclów, i jak mi Bóg miły, dla podobnego rezultatu drugi raz powtórzylibym moją grę! (...)

— Ale co w mieście słyhać? (...)

— W mieście...

— Z dawnych kundmanów [*kundman*: z niem.— stały odbiorca] nie ubył kto? — przerwał mu Wokulski, coraz szybciej chodząc po pokoju.

— Nikt! Przybyli nowi.

— A... a...

Wokulski stanął jakby wahając się. Nalał znowu szklanę wina i wypił duszkiem.

— A Łęcki kupuje u nas?...

— Częściej bierze na rachunek.

— Więc bierze... — Tu Wokulski odetchnął. — Jakże on stoi?

— Zdaje się, że to skończony bankrut i bodajże w tym roku zlicytują mu nareszcie kamienicę. (...)

— Proszę cię... A panna Łęcka nie wyszła za mąż?

— Nie.

— A nie wychodzi?...

— Bardzo wątpię. Kto dziś ożeni się z panną mającą wielkie wymagania, a żadnego posagu? Zestarzeje się, choć ładna. Naturalnie...

Wokulski wyprostował się i przeciągnął. Jego surowa twarz nabrała dziwnie rzewnego wyrazu.

— Mój kochany stary! — mówił biorąc Ignacego za rękę — mój poczciwy stary przyjacielu! Ty nawet nie domyślasz się, jakim ja szczęśliwy, że cię widzę, i jeszcze w tym pokoju. Pamiętasz, ilem ja tu spędził wieczorów i nocy... jak mnie karmiłeś... jak oddawałeś mi co lepsze odzienie... Pamiętasz?...

Bolesław Prus, *Lalka*, Warszawa 1974.

FRAGMENT 2.

Chciał wrócić się do ludzi, ale uczył, że nie zniósłby ich widoku. Już samo nawet myślenie męczyło go, prawie bolało.

„Nie wiedziałem, że człowiekowi może ciężyc własna dusza...” — mruknął. (...)

Wtem z daleka zobaczył dwa światła, powoli zbliżające się w jego stronę; za nimi majaczyła ciemna masa, za którą ciągnął gęsty snop iskier.

„Pociąg?...” — rzekł do siebie, i przywidziało mu się, że jest to ten sam pociąg, którym jedzie panna Izabela. Znowu zobaczył salonik oświetlony latarnią (...), a w kącie dostrzegł pannę Izabelę w objęciach Starskiego...

„Tak kocham... tak kocham... — szepnął. — I nie mogę zapomnieć!...”

W tej chwili opanowało go cierpienie, na które w ludzkim języku już nie ma nazwiska. Dręczyła go zmęczona myśl, zbolałe uczucie, zdruzgotana wola, całe istnienie... I nagle uczył już nie pragnienie, ale głód i żądę śmierci.

Pociąg z wolna zbliżał się. Wokulski nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, upadł na szyny. Drżał, zęby mu szczękały, schwyił się oburącz podkładów, miał usta pełne piasku... Na drogę padł blask latarni, szyny zaczęły cicho dźwięczeć pod toczącą się lokomotywą...

„Boże, bądź miłościw...” — szepnął i zamknął oczy.

Nagle uczył ciepło i gwałtowne szarpnięcie, które strąciło go z szyn... Pociąg przeleciał o kilka cali od głowy obryzgując go parą i gorącym popiołem. Na chwilę stracił przytomność, a gdy ocknął się, zobaczył jakiegoś człowieka, który siedział mu na piersiach i trzymał za ręce.

— Co wielmożny pan robi najlepszego?... — mówił człowiek. — Kto słyszał takie rzeczy... Przecie Bóg... Nie dokończył. Wokulski zepchnął go z siebie, pochwycił za kołnierz i jednym szarpnięciem rzucił na ziemię.

— Czego chcesz ode mnie, ty podły!... — zawołał.

— Panie... wielmożny panie... ja przecie jestem Wysocki... (...) I gdzieżbym ja mógł patrzeć na takie nieszczęście pana?... (...)

Wokulski zamyślił się (...)

„Wszystko zwraca się przeciw mnie, cokolwiek zrobiłem dobrego” — szepnął.

Był bardzo zmęczony, więc usiadł na ziemi, obok dzikiej gruszki, co w tym miejscu rosła, nie większa od dziecka. W tym czasie wiał wiatr i poruszał listkami drzewa wywołując szelesty, które nie wiadomo skąd przypominały Wokulskiemu dawne lata.

„Gdzie moje szczęście!...” — pomyślał.

Uczył ściskanie w piersiach, które stopniowo doszło do gardła. Chciał odetchnąć, lecz nie mógł; myślał, że się dusi, i objął rękoma drzewko, które wciąż szeleściło. (...)

Zdawało mu się, że (...) mu pękają piersi, wił się z bólu i nagle zaniósł się od płaczu.

„Boże miłosierny... Boże miłosierny!...” — powtarzał wśród łkań.

Dróżnik przepęłznął do niego i ostrożnie wsunął mu rękę pod głowę.

— Płacz, wielmożny panie!... — mówił nachylając się nad nim. — Płacz, wielmożny panie, i wzywaj boskiego imienia... Nie będziesz go wzywał nadaremnie... „Kto się w opiekę poda Panu swemu, a całym sercem szczerze ufa jemu, śmieie rzec może, mam obrońcę Boga, nie spadnie na mnie żadna straszna trwoga... Ciebie on z sideł zdradzieckich wyzjuje...” Co tam, wielmożny panie, dostatki, co największe skarby!... Wszystko człowieka zawodzi, tylko jeden Bóg nie zawiedzie...

Wokulski przytulił twarz do ziemi. Zdawało mu się, że z każdą łzą spada mu z serca jakiś ból, jakiś zawód i rozpacz. Wykolejona myśl poczęła układać się do równowagi. Już zdawał sobie sprawę z tego, co robił, i już rozumiał, że w chwili nieszczęścia, kiedy go wszystko zdradziło, jeszcze pozostała mu wierna — ziemia, prosty człowiek i Bóg...

Powoli uspokajał się, łkania coraz rzadziej rozdzierały mu piersi, uczył niemoc w całym ciele i twardo zasnął.

FRAGMENT 3.

Interesanci odchodzili bez nadziei; każdy jednak przyznawał, że Wokulski musi być ciężko chory. Wychudł, odpowiadał krótko i cierpko, a w oczach paliła mu się gorączka.

— Zabił się chciwością! — mówili kupcy.

Na parę dni przed ostatecznym terminem Wokulski wezwał swego adwokata i prosił go o zawiadomienie wspólników, że stosownie do zawartej z nimi umowy, wycofuje kapitał i usuwa się ze spółki. Inni mogą zrobić to samo.

— A pieniądze? — spytał adwokat.

— Dla nich już są gotowe w banku; ja zaś mam rachunki z Suzinem.

Adwokat pożegnał go strapiiony. Tegoż dnia przyjechał do Wokulskiego książę.

— Słyszę nieprawdopodobne rzeczy! — zaczął książę ściskając go za rękę. — Adwokat pański zachowuje się tak, jakby pan naprawdę miał zamiar nas opuścić...

— Czy książę myślał, że żartuję?...

— No, nie... Ja myślę, że pan spostrzegł jakieś niedogodności w naszej umowie i...

— I targuję się, ażeby zmusić was do podpisania innej, która zmniejszy wasze procenta, a zwiększy moje dochody... — pochwycił Wokulski. — Nie, książę, usuwam się zupełnie na serio.

— Więc robi pan zawód swoim wspólnikom...

— Jaki? Panowie sami zawiązaliście ze mną spółkę tylko na rok i sami żądaliście takiego prowadzenia interesów, ażeby w ciągu miesiąca po rozwiązaniu umowy każdy wspólnik mógł wycofać swój wkład. To było wasze wyraźne żądanie. Ja zaś przekroczyłem je o tyle, że zwrócę pieniądze nie w miesiąc dopiero, ale w godzinę po rozwiązaniu spółki. (...)

Książę zerwał się z fotelu. — Aaa!... to się nie godzi, panie Wokulski — mówił zadyszany. — Prawda, są wśród nas duże wady, są grzechy, ale żadnego z nich nie popełniliśmy względem pana... Miałaś naszą życzliwość... szacunek...

— Szacunek!... — zawołał śmiejąc się Wokulski. — Czy książę sądzi, że nie rozumiałem, na czym on polegał i jakie zapewniał mi stanowisko między wami?... Pan Szastalski, pan Niwiński, nawet... pan Starski, który nigdy nic nie robił i nie wiadomo, skąd brał pieniądze, o dziesięć piętér stali wyżej ode mnie w waszym szacunku. Co mówię... Lada zagraniczny przybłęda bez trudu dostawał się do waszych salonów, które ja musiałem dopiero zdobywać, choćby... piętnastym procentem od powierzonych mi kapitałów!... To oni, to ci ludzie, nie ja, posiadali wasz szacunek, ba! mieli nierównie rozleglejsze przywileje... Choć każdy z tych wyżej oszacowanych mniej jest wart aniżeli mój szwajcar sklepowy, bo on coś robi i przynajmniej nie gnoi ogółu...

— Panie Wokulski, krzywdzisz nas. Rozumiem, o czym pan mówisz, i na mój honor, wstydę się... Ależ my nie odpowiadamy za występki jednostek...

— Owszem, wy wszyscy odpowiadacie, bo owe jednostki wyrosły pośród was, a to, co książę nazywasz występkiem, jest tylko owocem waszych poglądów, waszej pogardy dla wszelkiej pracy i wszelkich obowiązków.

— Żal mówi przez pana... — odparł książę zabierając się do wyjścia. — Żal słuszny, ale może niewłaściwie skierowany... Żegnam pana. Więc zostawiasz nas na pastwę starozakonnym?

— Mam nadzieję, że porozumiecie się z nimi lepiej niż z nami — rzekł Wokulski z ironią.

Książę miał łzy w oczach.

— Myślałem — mówił wzruszony — że będziesz pan złotym mostem między nami a tymi, którzy... coraz więcej odsuwają się od nas...

— Chciałem być mostem, ale podpiłowano go i zawalił się... — odpowiedział Wokulski kłaniając się.

FRAGMENT 4.

(...) obok krzyża leżącego na ziemi wciąż klęczała młoda dziewczyna w aksamitnym kaftaniku i jaskrawym kapeluszu. Gdy zwróciła oczy na oświetlony grób, (...) błysnęło coś na wyróżzonych policzkach. Jeszcze raz ucałowała nogi Chrystusowi, ciężko podniosła się i wyszła.

„Błogosławieni, którzy płaczą... Niechże przynajmniej tobie zmarły Chrystus dotrzyma obietnicy” — pomyślał Wokulski i wyszedł za nią.

W kruchcie spostrzegł, że dziewczyna rozdaje jałmużnę dziadom. I opanowała go okrutna bolesć na myśl, że z dwu kobiet, z których jedna chce się sprzedać za majątek, a druga już się sprzedaje z nędzy, ta druga, okryta hańbą, wobec jakiegoś wyższego trybunału może byłaby lepszą i czystsza.

Na ulicy zównał się z nią i zapytał:

— Dokąd idziesz?

Na jej twarzy znać było ślady łez. Podniosła na Wokulskiego apatyczne wejrzenie i odparła:

— Mogę pójść z panem.

— Tak mówisz?... Więc chodź. (...)

— Dopiero co byłaś w kościele, wszak prawda, moja pani?

— Pan mnie widział?

— Modliłaś się i płakałaś. Czy mogę wiedzieć, z jakiego powodu?

Dziewczyna zdziwiła się i wzruszając ramionami odparła:

— Czy pan jest ksiądz, że się o to pyta? (...)

Zabierała się do odejścia, ale zatrzymał ją Wokulski. (...)

— Ile masz lat?

— Mówi się, że szesnaście, ale naprawdę mam dziewiętnaście.

— Chcesz stamtąd wyjść?

— A — choćby do piekła. Już mi tak dokuczili... Ale...

— Cóż?

— Pewnie nic z tego nie będzie... Wyjdę dziś, to po świętach sprowadzą mnie i zapłacą jak wtedy w karnawale, com później tydzień leżała.

— Nie sprowadzą.

— Akurat! Mam przecie dług...

— Duży?

— Oho!... z pięćdziesiąt rubli. Nie wiem nawet, skąd się wziął, bo za wszystko płacę podwójnie. Ale jest...

U nas tak zawsze. A jeszcze (...) powiedzą, że ich okradłam, i narachują, ile im się podoba.

Wokulski czuł, że opuszcza go odwaga.

— Powiedz mi, czy ty zechcesz pracować?

— A co będę miała do roboty?

— Nauczysz się szyć.

— To na nic. Byłam przecie w szwalni. Ale z ośmiu rubli na miesiąc nikt nie wyżyje. (...)

Wokulski podniósł głowę.

— Nie chcesz wyjść stamtąd!

— Ale chcę!

— Więc decyduj się natychmiast. — (...) pójdziesz (...) do magdalenek [*magdalenki*: siostry zakonu żeńskiego św. Magdaleny, które prowadziły domy poprawcze dla upadłych dziewcząt; niekiedy tak nazywano wychowanki tych domów] . Albo wracaj na miejsce.

— Magdalenki mnie nie wezmą. Trzeba zapłacić dług i mieć poręczenie...

— Wszystko będzie załatwione, jeżeli tam pójdziesz. (...) — Dam ci list, który zaraz odniesiesz, i tam zostaniesz. Chcesz czy nie chcesz?...

Monika Ryszawy, doradczynie metodyczna ds. szkół ponadpodstawowych, język polski; MCDN w Krakowie



— Ha! niech pan da list. Zobaczą, jak mi tam będzie. (...)

Wokulski napisał list, opowiedział, gdzie ma iść, i w końcu dodał:

— Masz wóz i przewóz. Będiesz dobra i pracowita, będzie ci dobrze; ale jeżeli nie skorzystasz z okazji, rób, co ci się podoba. Możesz iść.

Bolesław Prus, Lalka, Warszawa 1974.

FRAGMENT 5.

W sobotę po rozejściu się subiektów wieczorem pan Ignacy wziął od Szlangbauma klucz od tylnych drzwi sklepu, ażeby na przyszły tydzień ułożyć wystawę w oknach.

Zapalił jedną lampę, z głównego okna wydobył przy pomocy Kazimierza żardynierkę [*żardynierka*: podstawka lub kosz na kwiaty] i dwa wazon saskie a na ich miejsce ustawił wazon japońskie i starorzemski stolik. Następnie kazał służącemu iść spać, miał bowiem zwyczaj własnoręcznie rozkładać przedmioty drobne, a osobliwie mechaniczne zabawki. (...)

Nagle usłyszał łoskot. Spojrzał w głąb sklepu i zobaczył wydobywającą się spod kontuaru ludzką figurę. „Złodziej?...” — przeleciało mu przez głowę.

— Bardzo przepraszam, panie Rzecki, ale... ja zaraz przyjdę... — odezwała się figura z oliwkową twarzą i czarnymi włosami. Pobieгла do drzwi, otworzyła je pośpiesznie i znikła.

Pan Ignacy nie mógł podnieść się z fotelu; ręce mu opadły, nogi odmówiły posłuszeństwa. Tylko serce uderzało w nim jak dzwon rozbity, a w oczach zrobiło mu się ciemno.

„Cóż, u diabła, ja się zląkłem? — szepnął. — Wszakże to jest ten... ten Izydor Gutmorgen... tutejszy subiekt...” (...)

Tymczasem pan Izydor Gutmorgen po dłuższej nieobecności wrócił do sklepu, co jeszcze więcej zadziwiło Rzeckiego.

— Skądś się pan tu wziął?... czego pan chcesz?... — zapytał go pan Ignacy.

Pan Gutmorgen zdawał się być mocno zakłopotany. Spuścił głowę jak winowajca i przebijając palcami po kontuarze, mówił:

— Przepraszam pana, panie Rzecki, ale pan może myśli, że ja co ukradłem?... Niech mnie pan zrewiduje...

— Ale co pan tu robisz? — zapytał Rzecki. Chciał się podnieść z fotelu, lecz nie mógł.

— Mnie pan Szlangbaum kazał zostać tu dziś na noc...

— Po co?

— Bo, widzi pan, panie Rzecki... z panem przychodzi tu do ustawiania ten Kazimierz... Więc pan Szlangbaum kazał mnie pilnować, ażeby on czego nie wyniósł... Ale że mnie się trochę niedobrze zrobiło, więc... ja pana bardzo przepraszam...

Rzecki już powstał z siedzenia.

— Ach, wy kundle!... — zawołał w najwyższej pasji. — To wy mnie uważacie za złodzieja?... I za to, że wam darmo pracuję?...

— Przepraszam pana, panie Rzecki — wtrącił z pokorą Gutmorgen — ale... po co pan darmo pracuje?...

— Niechże was milion diabłów porwie!... — krzyknął pan Ignacy. Wybiegł ze sklepu i starannie zamknął drzwi na klucz.

„Posiedźże sobie do rana, kiedy ci niedobrze!... I zostaw pamiątkę swemu pryncypałowi” — mruknął.

Pan Ignacy nie mógł spać całą noc. A ponieważ jego lokal dzieliła tylko ściana od sklepu, więc około drugiej usłyszał ciche pukanie wewnątrz sklepu i stłumiony głos Gutmorgena, który mówił:

— Panie Rzecki, niech pan otworzy... Ja zaraz wrócę...

Wkrótce jednak wszystko ucichło.

„O, gałgany!... — myślał Rzecki przewracając się na łóżku. — To wy mnie traktujecie jak złodzieja... Poczekajcież!...”